

Anihilacja

Jeff VanderMeer

PIERWSZA
CZEŚĆ
CYKLU
SOUTHERN
REACH



Wywraca umysł do góry nogami.
Sara Sklaroff, „The Washington Post”

Anihilacja

Jeff VanderMeer

PIERWSZA CZĘŚĆ
CYKLU „SOUTHERN REACH”

tłumaczenie
Anna Gralak

JEDNYM SŁOWEM
znak

Kraków 2025

Tytuł oryginału: *Annihilation*

ANNIHILATION: A Novel by Jeff VanderMeer

Copyright © 2014 by VanderMeer Creative, Inc.

Published by arrangement with Farrar, Straus and Giroux, New York.

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Copyright © for the Polish edition by SIW Znak sp. z o.o., 2025

Projekt okładki

Pablo Delcan

Adaptacja okładki oryginalnej

Karolina Korbut

Ilustracje w książce i na wyklejkach

Ernst Haeckel, *Kunstformen der Natur* (1904), domena publiczna,

źródło: Wikimedia Commons

© grpxstore | Adobe Stock

Wydawczyni

Olga Orzeł-Wargaskog

Redaktorka prowadząca

Adrianna Kapelak

Opieka redakcyjna

Sylwia Stojak, Sabina Wojtasiak

Opracowanie typograficzne książki

Daniel Malak

Adiustacja

Anna Kopeć-Śledzikowska |

Wydawnictwo JAK

Korekta

Maria Armata, Joanna Holdys |

Wydawnictwo JAK

Lamanie

Andrzej Choczewski |

Wydawnictwo JAK

Opieka produkcyjna

Karolina Korbut, Dawid Kwoka

Opieka promocyjna

Marta Greczka

ISBN 978-83-240-9051-8

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569

e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I (Znak), Kraków 2025

Druk: Wydawnictwo Jedność

Dla Ann

Jeszcze raz pomyślałam o latarni morskiej, którą zobaczyłam późnym popołudniem pierwszego dnia w obozie. Zakładałyśmy, że ta budowla jest latarnią morską, bo w tym miejscu na mapie widniała właśnie ona, i wszystkie wiedziałyśmy, jak powinna wyglądać. Geodetka i antropolożka wyraziły na jej widok coś w rodzaju ulgi. Obecność latarni na mapie i w rzeczywistości dodała im otuchy, poczuły się pewniej. Znajomość jej przeznaczenia jeszcze bardziej je uspokoiła.

W wypadku wieży nie miałyśmy żadnej z tych informacji. Nie potrafiłyśmy intuicyjnie określić jej zarysu. Nie wiedziałyśmy, do czego może służyć. I nawet teraz, kiedy zaczęłyśmy schodzić w głąb, wieża nie odsłoniła przed nami żadnej z tych tajemnic. Psycholożka mogła sobie recytować wymiary „góry”, ale te liczby nic nie znaczyły, nie miały szerszego kontekstu. Bez niego kurczowe trzymanie się danych było formą szaleństwa.

– Krąg ma regularny kształt widoczny w zarysie ścian wewnętrznych, co sugeruje precyzję wykonania budynku – stwierdziła antropolożka.

Budynku. Już zaczęła odchodzić od idei tunelu.

Wszystkie moje myśli wylały się potokiem słów, jakby w końcu wypłynęły emocje, które zawładnęły mną na powierzchni.

– Ale po co tutaj jest? I jak to możliwe, że nie ma tego na mapach? Czy mogła to zbudować i ukryć któraś z wcześniejszych ekspedycji?

Zadałam te i wiele innych pytań, nie spodziewając się odpowiedzi. Choć nie odkryłyśmy żadnego zagrożenia, czułam potrzebę unikania ewentualnych chwil milczenia. Jakby nagość tych ścian w jakiś sposób karmiła się ciszą i w przestrzeni między naszymi

słowami mogło się coś pojawić. Gdybym podzieliła się tą obawą z psycholożką, wzbudziłabym jej niepokój, wiem o tym. Byłam jednak bardziej nastrojona na samotność niż którakolwiek z nas i w tym momencie naszej misji rozpoznawczej to miejsce zdawało się czuć.

Zduszony okrzyk geodetki przerwał mi w pół słowa, bez wątpienia ku wielkiej uldze antropolożki.

– Zobaczcie! – powiedziała geodetka, kierując latarkę w stronę korytarza.

Podbiegłyśmy i spojrzaliśmy w tamtą stronę, przyświecając sobie latarkami.

Schody rzeczywiście wiodły w dół, tym razem łagodnie zakręcając. Stopnie były o wiele szersze, ale wciąż z tych samych materiałów. Zobaczyłam, że mniej więcej na wysokości ramienia, około półtora metra nad podłogą, do ściany przylega coś, co na początku wydało mi się leciutko skrzącymi się zielonymi pnączami, które sięgały dalej, ku ciemności na dole. Nagle nawiedziło mnie absurdalne wspomnienie kwiecistej tapety w łazience domu, w którym mieszkałam razem z mężem. Kiedy tak patrzyłam, „pnącza” nabrały wyrazistszego kształtu i zobaczyłam, że tworzą słowa; napisane kursywą litery odstawały od ściany na mniej więcej piętnaście centymetrów.

– Poświęć – powiedziałam i przepchnęłam się kilka stopni w dół.

Krew uderzyła mi do głowy, głośno zaszumiało mi w uszach. Zrobienie tych kilku kroków wymagało nadzwyczajnej samokontroli. Nie potrafię opisać, jaki impuls mnie do tego skłonił – chyba tylko fakt, że byłam biolożką, a to coś miało dziwnie organiczny wygląd. Może gdyby była przy mnie językoznawczyni, zdałabym się na nią.

– Cokolwiek to jest, niczego nie dotykaj – ostrzegła mnie antropolożka.

Pokiwałam głową, ale byłam zbyt zachwycona odkryciem. Gdyby jakiś impuls kazał mi dotknąć słów na ścianie, nie zdołałabym się powstrzymać.

Czy byłam zaskoczona, kiedy zbliżyłam twarz do ściany i okazało się, że rozumiem język, w którym napisano te słowa? Tak. Czy to odkrycie przepełniło mnie czymś w rodzaju euforii zmieszanej ze strachem? Tak. Staralam się stłumić tysiąc nowych wzbierających we mnie pytań. Świadoma wagi tej chwili, najspokojniejszym głosem, jaki zdołałam z siebie wydobyć, zaczęłam głośno czytać od początku:

Tam, gdzie spoczywają dławiące owoce, które pochodzą z ręki grzesznika, przyniosę nasiona śmierci, by dzielić się nimi z robactwem, co...

Dalszą część spowijała ciemność.

– To słowa? Słowa? – spytała antropolożka.

Tak, słowa.

– Z czego są zrobione? – dorzuciła geodetka.

Czy musiały być z czegoś zrobione?

Światło, które padało na niekończące się zdanie, trzęsło się i drgało. Słowa „tam, gdzie spoczywają dławiące owoce” zanurzały się na zmianę w ciemności i jasności, jakby trwała zacięta bitwa o ich znaczenie.

– Zaczekaj chwilę. Muszę się dostać bliżej.

Czy naprawdę musiałam? Tak, musiałam się dostać bliżej.

Z czego są zrobione?

Nawet się nad tym nie zastanawiałam, choć powinnam była. Nadal próbowałam analizować znaczenie,

nie zaświtała mi jeszcze myśl o pobraniu próbki. Ale jakąż ulgę poczułam, słysząc to pytanie! Pomogło mi zwalczyć przymus dalszego czytania, schodzenia w większą ciemność i jeszcze głębiej, dopóki nie przeczytam wszystkiego, co zostało napisane. Pierwsze słowa już zaczęły niespodziewanie wnikać do mojego umysłu, znajdując tam żyzne podłoże.

Podeszłam więc bliżej, spojrzałam na „Tam, gdzie spoczywają dławiące owoce”. Zobaczyłam, że litery połączone pochyłym pismem są z czegoś, co laikowi przypominałoby gęsty, zielony, paprociowy mech, lecz w rzeczywistości prawdopodobnie było jakimś rodzajem grzybów albo innych eukariontów. Wszystkie zakręcone włókna były bardzo ciasno upakowane i odstawały od ściany. Słowa wydzielały woń ilastej ziemi połączonej z nutą zepsutego miodu. Maleńki las kołysał się ledwie zauważalnie niczym trawa morska poruszana delikatnym prądem oceanu.

W tym miniaturowym ekosystemie istniały też inne elementy. Większość stworzeń przysłoniętych zielonymi włókienkami była przezroczysta i miała kształt maleńkich rączek tkwiących w podłożu nasadą dłoni. Na koniuszkach „palców” zauważyłam złote bąbelki. Przysunęłam się bliżej jak kretyńka, jak ktoś, kto nie przeszedł wielomiesięcznego szkolenia w zakresie survivalu i nigdy nie studiował biologii. Ktoś, kto dał się nabrać i niesłusznie uznał, że słowa należy czytać.

Miałam pecha – a może szczęście? Pobudzony ruchem powietrza bąbelek w literze „T” wybrał sobie tę chwilę, żeby pęknąć, i strzyknął maleńkim strumieniem złotych zarodników. Cofnęłam się, ale chyba poczułam,

jak coś mi wpada do nosa, woń zepsutego miodu na moment przybrała na sile.

Wytracona z równowagi, odsunęłam się jeszcze dalej, wypowiadając w myślach kilka najlepszych przekleństw geodetki. Zawsze wszystko instynktownie ukrywałam. Mogłam sobie wyobrazić, jak zareagowałyby psycholożka na moje skażenie, gdybym przyznała się do niego grupie.

– To jakieś grzyby – powiedziałam w końcu, biorąc głęboki oddech, żeby zapanować nad głosem. – Litery są z owocników.

Kto wie, czy rzeczywiście tak było. Po prostu nie znalazłam lepszej odpowiedzi.

Mój głos musiał sprawiać wrażenie spokojniejszego niż moje myśli, bo nie zwrócił niczyjej uwagi. Ton moich towarzyszek nie wskazywał na to, że zauważyły, jak zarodniki strzykają mi w twarz. Byłam tak blisko. Zarodniki były takie maleńkie, takie nieważne. „Przyniosę nasiona śmierci”.

– Słowa? Z grzybów? – zdziwiła się geodetka, głu-pio za mną powtarzając.

– Żaden ze znanych ludziom języków nie stosuje tej metody zapisu – powiedziała antropolożka. – Czy istnieją zwierzęta, które komunikują się w ten sposób?

Nie zdołałam powstrzymać śmiechu.

– Nie, żadne zwierzę nie komunikuje się w ten sposób.

A nawet jeśli tak, to go sobie nie przypominałam – ani wtedy, ani później.

– Żartujesz? To żart, prawda? – spytała geodetka.

Wydawała się gotowa, by zejść na dół i udowodnić mi błąd, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Owocniki – powtórzyłam prawie jak w transie. – Tworzą słowa.

Ogarnął mnie spokój. Towarzyszące mu doznanie – jakbym nie mogła albo nie chciała oddychać – bez wątpienia miało podłoże psychiczne, nie fizyczne. Nie zaobserwowałam żadnych zmian fizjologicznych, ale w pewnym sensie to było nieistotne. Wiedziałam, że raczej nie mamy w obozie antidotum na coś tak niespotykanego.

Paraliżowały mnie zwłaszcza informacje, które usiłowałam przeanalizować. Słowa składały się z symbiotycznych owocników nieznanego mi gatunku. Po drugie, warstewka zarodników na literach oznaczała, że im dalej w głąb wieży zejdziemy, tym więcej potencjalnych substancji skażających znajdzie się w powietrzu. Czy był sens dzielić się tymi spostrzeżeniami z resztą, skoro wzbudziłyby tylko niepokój? Uznałam – być może samolubnie – że nie. Że raczej warto dopilnować, by moje towarzyszki nie naraziły się na bezpośrednie działanie tych organizmów, zanim wrócimy z odpowiednim sprzętem. Wszystkie inne oceny zależały od czynników środowiskowych i biologicznych, a byłam coraz bardziej przekonana, że mam na ich temat niewystarczające dane.

Wróciłam po schodach na podest. Geodetka i antropolożka patrzyły na mnie wyczekująco, jakby chciały usłyszeć coś więcej. Zwłaszcza antropolożka była spięta, jej spojrzenie na niczym się nie zatrzymywało, bez przerwy wodziła wzrokiem. Może i zdołałabym zmyślić informacje, które przerwałyby te bezustanne poszukiwania. Ale czy mogłam powiedzieć o tych słowach na ścianie coś poza tym, że były albo czymś nieprawdopodobnym, albo szaleństwem, albo jednym

i drugim? Wolałabym, żeby zostały napisane w nieznanym języku, wtedy w pewnym sensie miałybyśmy łatwiejszą zagadkę do rozwiązania.

– Powinnyśmy wracać – rzuciłam.

Nie zalecałam tego jako najlepszej strategii działania – chciałam ograniczyć ich ekspozycję na zarodniki, dopóki sama nie odczuję długofalowych skutków. Poza tym wiedziałam, że jeśli spędzę tam więcej czasu, może mną zawładnąć przymus, by zejść po schodach i czytać dalej. Moje towarzyszki musiałyby mnie powstrzymać siłą, a nie byłam pewna, co bym wtedy zrobiła.

Antropolożka i geodetka nic więcej nie powiedziały. Gdy wracałyśmy na górę, przez chwilę, mimo przebywania w zamkniętej przestrzeni, kręciło mi się w głowie i poczułam coś w rodzaju panicznego strachu, ściany nagle nabrały cielesnego aspektu, jakbyśmy podróżowały przez gardziel bestii.